BOLKO





Czyli o skrzacie, który posłuchał swojego snu

i o tym co z tego wynikło



projekt i wykonanie okładki: **Jan Kryciński**

tekst i ilustracje: **Jan Kryciński**

redakcja, skład i łamanie: **Jan Kryciński**

Drogi czytelniku.

Autor udostępnia tę książkę na licencji CC BY -NC -SA. Oznacza to, że może być ona (a także wszelkie dzieła pochodne, które muszą być opublikowane na takiej samej licencji) kopiowana, dystrybuowana, wyświetlana i użytkowana tylko w celach niekomercyjnych i pod warunkiem umieszczenia informacji o twórcy. Dlatego jeśli historia skrzata zwanego Bolkiem spodoba Ci się, kopiuj, powielaj i rozdawaj ją innym, do czego autor gorąco Cię zachęca!

A jeśli masz życzenie wynagrodzić autora za włożoną w książkę pracę, możesz to zrobić kupując tę książkę za dowolną sumę pod adresem https://deerbard.gumroad.com/l/bolko. Wszelkie informacje znajdziesz też na stronie https://jankrycinski.com/pl w zakładce „sklepik" wyszukując znajomą okładkę z podpisem „Bolko" .

Do napisania i zilustrowania tej książki nie użyto sztucznej inteligencji.

Miłej lektury!

ISBN 978-83-970276-**0**-2

Wydanie 1

Sen

Niedaleko stąd, tam gdzie teraz rozciąga się miasto, stała kiedyś puszcza nieprzebyta. W niej zaś, w wygodnym domu ukrytym pod porośniętym mchem głazem, w cieniu wielkiego dębu mieszkał samotnie skrzat Bolko, cieśla, zwany też Dębową Czapką z racji noszonego nakrycia głowy. Bolko pracował dobrze i sumiennie w swoim fachu, był jednak tak skryty i nieśmiały, że nie miał wielu przyjaciół, ani narzeczonej, choć czas już był po temu sposobny.

Jego życie pewnie dalej toczyłoby się bez większych zmian, gdyby pewnego razu nie przyśnił mu się pewien sen inny niż wszystkie, jakie do tej pory śnił. W tym śnie błąkał się we mgle, całkiem zagubiony, a w głowie szumiało mu i huczało, aż wtem głos jakiś, jakby znajomy szepnął mu prosto do ucha - Przybądź, czekam na ciebie! - i wtedy mgła rozwiała się a on spostrzegł, że idzie wąską groblą, którą zewsząd otacza falująca woda. Ta nagła zmiana tak go zaskoczyła, że stracił równowagę i wpadł do wody, która porwała go zaraz ze sobą. Okazało się, że znalazł się w morzu, na środku którego wirował wielki lej, a wokół niego wszystkie wody i to co w nich. Bolko chcąc nie chcąc wirował więc także coraz szybciej i szybciej.

Wtem z rozwartej na środku morza otchłani wychynął ogromny wąż. Kłapał zębiskami wielkimi jak góry, oczy miał jak galaktyki a nozdrza jak wulkany. Był tak duży, że gdy przepływał obok skrzata, przesłonił mu połowę nieba. Bolko nie czekając wiele schwycił się jego łuski i począł drapać się w górę. Spędził na tej mozolnej wędrówce tak dużo czasu, że słońce zdążyło trzydzieści razy wzejść i schować się za horyzont, ale w końcu usiadł na głowie węża i zobaczył, że ten pływa po wodzie w koło ani myśląc dopłynąć do brzegu.

Siedział Bolko na głowie węża i myślał długo. Nie wiadomo czy by tak sam coś wymyślił, lecz z jego kieszeni wyszła żaba i powiedziała tak: - Wyciągnąłeś mnie z wody gdy zaplątałam się w szelki twojego plecaka. Z początku byłam zła na ciebie, ale teraz widzę z góry jaki świat jest wielki i piękny. To dzięki tobie mogłam go zobaczyć. W zamian powiem ci jak możesz kazać wężowi płynąć tam, dokąd zechcesz. Widzisz te glony zaplątane w jego łuski? Upleć z nich zasłony i nimi zasłaniaj jedno lub drugie jego oko. Gdy zakryjesz oko lewe, wąż skręci w prawo, gdy zakryjesz prawe, wąż skręci w lewo. - Tak powiedziała, po czym skoczyła z powrotem do wody, gdzie przez resztę życia opowiadała swoim kumom co widziała nad powierzchnią, a choć nikt jej do końca nie wierzył, wszyscy lubili słuchać, bo nawet żaby i ślimaki lubią dobre opowieści.



Jak mu żaba powiedziała, tak zrobił. Uplótł zasłonę z wodorostów i zarzucał ją to na jedno to na drugie oko węża, aż ten w końcu dopłynął na drugi brzeg morza. Tam skrzat czym prędzej zbiegł z jego grzbietu, co tym razem zajęło mu jedynie trzy dni, bo zejść zawsze jest szybciej niż się wdrapać na górę.

Gdy zszedł, zdało mu się, że ujrzał na brzegu dwa piękne klejnoty, które z dala migotały zachęcająco jak dwa wesołe światełka wśród mokrych kamieni. Może to odbicie gwiazd, które migotały na niebie? Podniósł wzrok i ujrzał, że wcale nie były to gwiazdy, a dwoje jasnych oczu patrzących na niego. Ale i one znikły zaraz. Zasłonił je wielki, czarny kształt na nietoperzych skrzydłach. Na jego środku rozwarła się zębata paszcza i buchnął z niej ogień przesłaniając wszystko, a Bolko zbudził się przerażony i zlany potem. - Smok! - chciał krzyknąć. Zrozumiał jednak, że był to tylko sen.



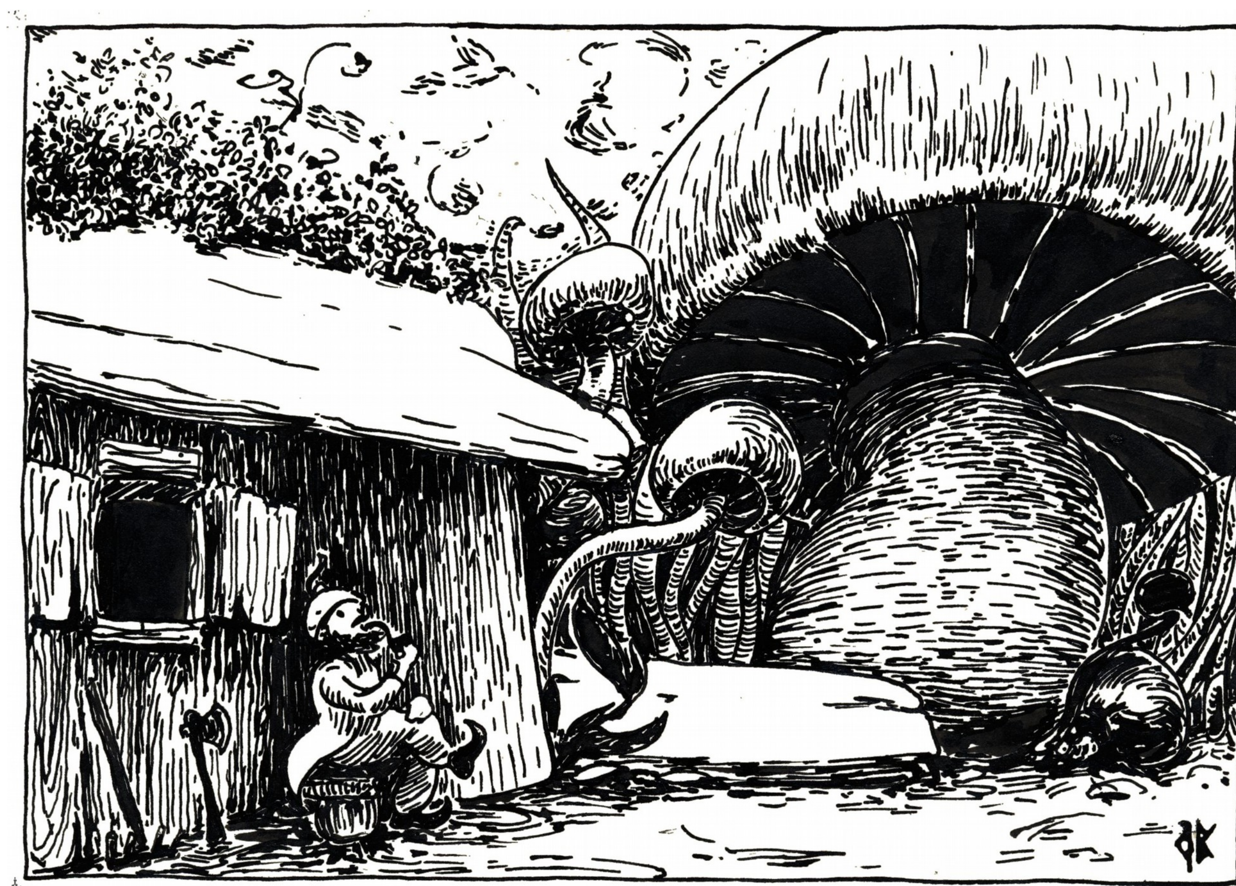
Usiadł na łóżku i długo tak siedział i myślał, a dziwne uczucie, które w nim się obudziło, towarzyszyło mu odtąd cały czas odciągając go od pracy. Coraz częściej spoglądał Bolko poważnie ponad ogrodem, ponad łąką gdzieś w dal, o której wiedział tyle tylko, że pełna była groźnych tajemnic czekających na każdego, kto z ciekawości czy głupoty oddaliłby się zanadto od domu.

W drogę

Sen, który przyśnił się Bolkowi, zupełnie nie chciał wylecieć mu z głowy. Machał nią więc, przetykał uszy, skakał na jednej nodze. Ba, bekał nawet głośno i zawzięcie, gdy nikt go nie słyszał. Wszystko po to, by wyrzucić z siebie wspomnienie snu. Na nic były te próby. Opanowało go nieznane mu dotąd pragnienie. Przemożna chęć dowiedzenia się co kryje się za horyzontem, co za zakrętem drogi, za który nigdy wcześniej się nie zapuszczał. Nawet z rzadka odwiedzający go sąsiedzi, poczęli mówić między sobą, że stateczny dotąd Dębowa Czapka zrobił się jakiś dziwny i rozkojarzony.

W końcu stwierdził, że skoro nic nie może na to poradzić, musi wyruszyć. I tak wraz z nastaniem jesieni zamiast szykować zapasy na zimę i chrust na opał, założył mocne buty, spakował plecak i zamknął szczelnie okiennice. Za cel obrał drugi brzeg rzeki Szemrzyny płynącej o pół dnia drogi od domu.

- Nigdy jeszcze nie byłem za rzeką. Zobaczmy czy moja łódź nadaje się do czegoś - powiedział sobie - Jakie to dziwne, że zrobiłem łódź tylko po to, by leżała teraz w jamie





pod korzeniem i nigdy nawet jej nie wypróbowałem. Buduję i buduję, ale to inni korzystają z tego, co stworzę.

Wyruszając czuł dreszcze na plecach. Na wszelki wypadek nie obejrzał się za siebie ani razu w obawie, że coś znów zatrzyma go w domu.

- A niech tam, jak się uda, przynajmniej będę miał o czym opowiadać po powrocie – mruknął, ale jakoś niezbyt wesoło i zaraz sam sobie odpowiedział - Ech, Dębowa Czapko, a komuż ty będziesz opowiadał swoje przygody?

Myśli jego pobiegły ku pięknej Konwalii. Córka szanowanego w całej okolicy kapelusznika Kurdybanka, która podobała mu się już od dawna, zdawała się nie zwracać na niego większej uwagi, a nieśmiały Bolko nie narzucał się nigdy. Jednak jego myśli powracały do niej w różnych nieoczekiwanych momentach, takich jak ten.

Dotarł tymczasem Bolko nad rzekę. Łódź była tam, gdzie ją był kiedyś ukrył, w jamie pod korzeniem, cała i w dobrym stanie, co przyjął za dobry znak. Jeszcze bardziej ucieszył się widząc, że rzeka znacznie podmyła brzeg od kiedy ją ostatnio widział i nie będzie musiał daleko ciągnąć łodzi po piachu by ją zwodować.

Popołudniowe słońce stało jeszcze dość wysoko na niebie. W dole kolorowy zimorodek przycupnął na pniaku wystającym z wody i przyglądał mu się ciekawie. Szemrzyna płynęła leniwie, wygrzewając się w słońcu. Ach, później, później zajmie się wszystkimi problemami. Teraz czas złapać za wiosła i nie myśleć za wiele. Przygoda czeka!

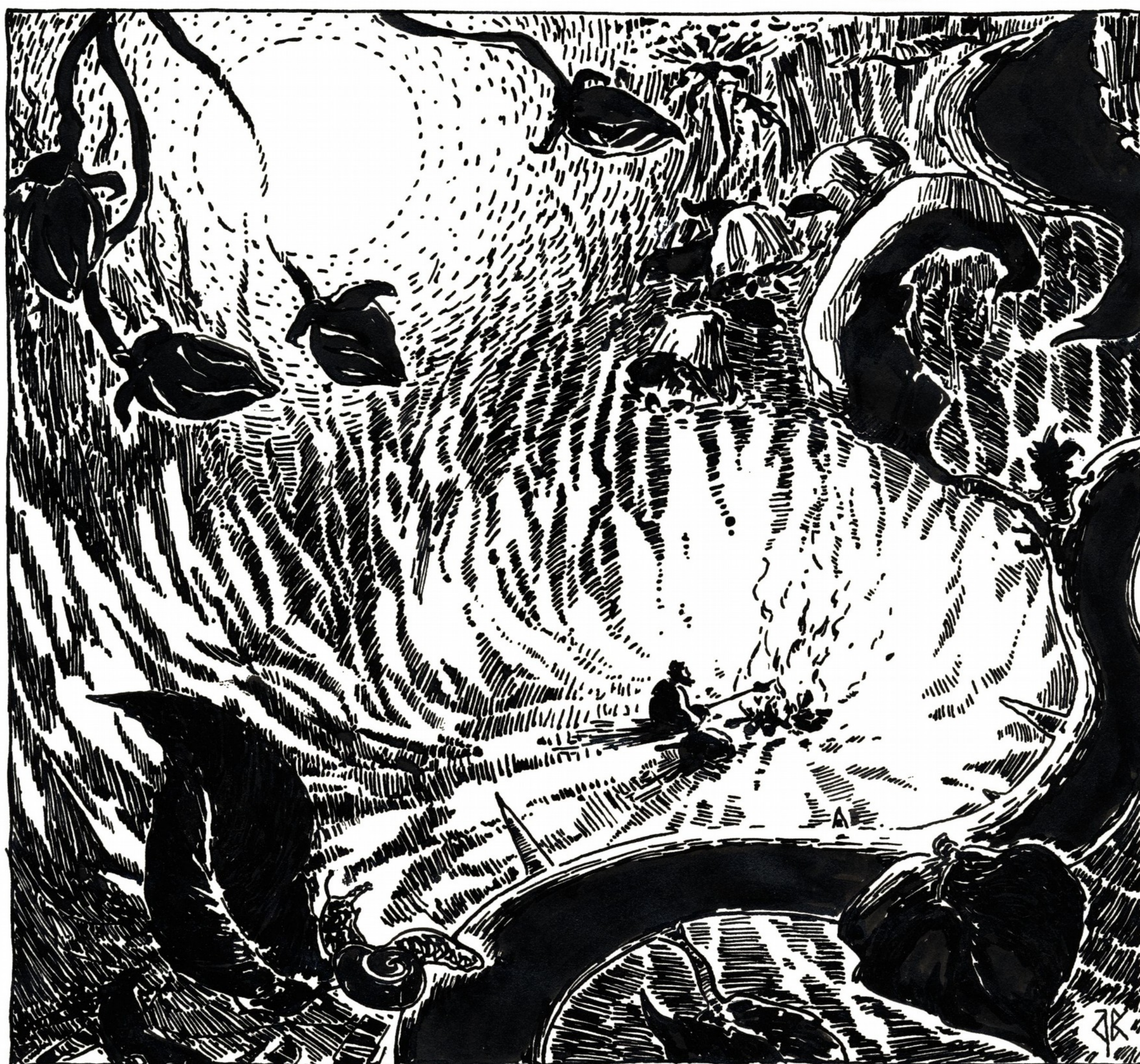
Ledwo odbił od brzegu, wiry wodne zakręciły małą dłubanką, a wiatr dmuchnął w przeciwną stronę. Rozpoczęła się nierówna walka z żywiołem. Za każdym razem, gdy zbliżał się do drugiego brzegu, prąd znosił go znów na środek. Wielokrotnie zdawało mu się, że już już dopływa, lecz kończyło się wciąż tak samo. W końcu usiadł zmęczony i zrezygnowany na dnie łodzi sapiąc ciężko i zaklinał już tylko los, by żaden żarłoczny szczupak nie wziął go za smaczny kąsek i nie połknął razem z łodzią. Zimorodek, który jakby przypadkiem towarzyszył mu w tej podróży w dół strumienia, usiadł znów na gałęzi. Tym razem skrzatowi wydało się, że dostrzegł drwinę w jego oku.



- Gdybym mógł polecieć po prostu na skrzydłach, jak ty - westchnął. Zimorodek nic nie odpowiedział. Zanurkował w wodę i po chwili odleciał. W jego dziobie trzepotała się srebrzysta ryba.

Bolko płynął znoszony prądem, a upał powoli ustępował miejsca chłodnym cieniom kładącym się na wodach Szemrzyny. O zmierzchu, tam gdzie rzeka rozlewała się szerzej między trzcinami, zobaczył przed sobą nieruchomą taflę Czarnego Jeziora. Zaraz też zaczął machać wiosłami za dwóch korzystając z tego, że w końcu nie musi walczyć z nurtem rzeki. Pamiętał jak jeszcze babka opowiadała mu o tym miejscu tymi słowami:

- Wystrzegaj się wód jeziora. Jego wody są głębokie a na samym dnie mieszka stary, zły Utopiec. Myśli, że jest królem jeziora, ale nikt mu nie przynosi danin i żadna



księżniczka nie chce zostać jego żoną. Ze złości wciąga nieostrożnych podróżnych pod wodę, gdzie stają się wodnymi ślimakami i resztę życia spędzają, pełzając w swych skorupach. Nigdy nie chodź nad Czarne Jezioro mój mały skrzatku, a już na pewno nie nocą. - Nigdy więc nie chodził i teraz też nie zamierzał sprawdzać, ile się kryło prawdy w słowach babki.

Niedługo potem rozpalał już ognisko na małej polance wśród wysokich zarośli. Po zmaganiach z rzeką i wiatrem ręce trzęsły mu się ze zmęczenia. Gdy jednak rozgrzał się i podjadł nieco, ogarnęło go takie zadowolenie, że zaczął gwizdać radosne melodie.

- To ci przygoda! To ci wyprawa! Drugi brzeg rzeki, fiu fiu.

- Fiu fiu fiu - zagwizdał w odpowiedzi jakiś wodny ptak. Bolko obejrzał się w stronę trzcin. Gdzieś tam ukryta była jego łódź, a dalej rozciągały się groźne, ciemne odmęty Czarnego Jeziora.

- Tu mnie nie złapiesz, wodna poczwaro. - mruknął, układając się do snu. Wkrótce jednak zapomniał o utopcu. Ciepło ogniska skleiło mu ciężkie nagle powieki. Tej nocy Bolko spał twardo i nie obudził się przez całą noc, aż dopiero chłód poranka wdarł się pod koc i poderwał go na nogi.

Spotkania

Ognisko dawno wygasło, a ciągnąca od jeziora wilgoć oblepiała ziemię, trawy, koc i włosy. Bolko wyruszył od razu, by rozgrzać się marszem. Świt zastał go pnącego się na skalisty pagórek w rzednących oparach mgły. Wychodził właśnie z wąskiego żlebu szukając wzrokiem dogodnej drogi, gdy naraz spostrzegł coś całkiem niespodziewanego. Oto na kamiennym wzgórku ponad nim stała milcząca i nieruchoma postać. Wielkością i posturą przypominała skrzata w płaszczu i w bardzo wysokim kapeluszu, tak długim jak sam skrzat. To wszystko jednak, co Bolko mógł dostrzec, gdyż mgła ponownie zaczęła wtedy gęstnieć.



Po plecach przeszły mu ciarki, a w gardle zaschło. Po chwili milczenia przypomniał sobie jednak o zasadach dobrego wychowania i właśnie otworzył usta, by się przywitać, jednak nieznajomy uprzedził go:

- Pomyliłeś góry, Dębowa Czapko. Twoja droga prowadzi pod zielonym dachem i po białej ścieżce. Prowadzi na górę, która nie ma imienia.

Bolko zaniemówił. Cóż za osobliwe przywitanie! Tamten nie zwracał jednak uwagi na jego nietęgą minę i nie przerywał przemówienia:

- Wejdź na szczyt Góry Bez Imienia, to jest jeśli dasz radę oczywiście. Spotkasz tam Władcę Góry. Jeśli wykradniesz najmniejszy z kluczy, który nosi przy pasie,

dam ci to, czego potrzebujesz. Uważaj jednak, nie daj mu się schwycić. Władca Góry Bez Imienia jest potężnym, złym czarownikiem.

- Ależ ja niczego nie...

- Potrzebujesz? Oh, jeszcze o tym nie wiesz. - Nie do wiary! Znów wszedł mu w słowo! Bolko spostrzegł mimochodem, że nieznajomy ma długą siwą brodę, która sięga niemal ziemi. Taki stary, a nie potrafi się zachować. Naraz mgła zgęstniała tak bardzo, że na chwilę całkiem przesłoniła jego sylwetkę białą zasłoną - Idź już, idź i nie pomyl drogi - ponaglił go starzec, wskazując ręką kierunek i jednocześnie raz po raz oglądając się za siebie jakby z obawą. Po chwili wiatr znów przewiał opary, a na zboczu nikogo już nie było.

- Gdzież on się podział? - wymamrotał pod wąsem Bolko. - Czarownik jakiś, czy co? - Rozglądał się po nagich skałach dookoła. Ani śladu kryjówki w którą mógłby łatwo uskoczyć skrzat, nie mówiąc o powolnym starcu i to noszącym tak dziwacznie długi kapelusz.

- W każdym razie na pewno nic się nie stanie, jeśli najpierw wyjdę na szczyt pagórka i rozejrzę się w końcu po okolicy. Po to przecież drapałem się całą tę drogę - stwierdził w końcu i ruszył dalej, choć czuł irytację całą zaszłą sytuacją. Gdy stanął na szczycie, rozejrzał się na wszystkie strony. Na wschodzie mgły powoli rozwiewały się w porannym słońcu, lecz wciąż skrywały brzegi jeziora i miejsce jego noclegu. Zarysy drugiego brzegu były ledwo widoczne. Spojrzał na północ. Tam wyrastała przed nim góra znacznie większa, niż ta, na którą się właśnie wspiął. Nawet człowiek musiałby się natrudzić, by wspiąć się na jej szczyt, a co dopiero skrzat.

- Góra Bez Imienia - wyszeptał z podziwem - to musi być ona.

Kątem oka pochwycił jakiś ruch, więc spojrzał z kolei na zachód, gdzie jak mu się zdało, ujrzał jeszcze jedną górę. Nieco mniejszą, lecz jakże dziwną. W pierwszej chwili pomyślał, że góra pokryta jest ścierniskiem, na którego środku stoi jeden wielki stóg siana. Góra jednak poruszyła się, a stóg siana okazał się głową, która zaczęła się powoli obracać. Pokazało się wielkie ucho, policzek, potężny nos i zaraz głęboko osadzone oczy, które spojrzały wprost na Bolka.

Olbrzym! Wielki jak drzewo! Skrzat nie czekał ani chwili dłużej, popędził na łeb na szyję w dół zbocza, mało nóg nie pogubił. Serce biło mu jak zwariowane, lecz zatrzymał się dopiero gdy wpadł w wysokie zarośla paproci u stóp pagórka, których gąszcz niemal przesłonił mu niebo. Tu poczuł się bezpieczniej. Głośno łapiąc oddech, przycupnął za jedną z paproci i przez szparę między liśćmi obserwował szczyt pagórka, wyczekując dalszego rozwoju wydarzeń. Wiedział, że co prawda nie wszystkie olbrzymy są złe, jednak w większości są raczej głupie i przez to już niebezpieczne, zwłaszcza dla skrzatów, które mogą po prostu rozdeptać przez nieuwagę. Struchlał, gdy ziemia zadrżała z głośnym grzmieniem, a nad pagórkiem wzniosły się plecy olbrzyma. Po chwili jednak znów zaczęły znikać. Dum! Dum! Rozlegało się coraz ciszej i ciszej w równych odstępach czasu. Olbrzym odchodził. Bolko odetchnął głęboko.





Gdy pierwsze promienie słońca wpadły między paprocie i rozświetliły je złociście, Bolko maszerował już dziarsko. Szedł właśnie wąską ścieżką wydeptaną przez myszy, albo może przez inne żyjące pod pagórkiem istoty i tak mruczał do siebie:

- Co też mówił ten stary skrzat, którego dziś spotkałem? - wspomnienie to już teraz wydawało mu się odległe niczym nocne majaki, które bledną wraz z nastaniem dnia - „Moja droga prowadzi pod zielonym dachem i po białej ścieżce?" Idę teraz pod zielonym dachem paproci, więc chyba trafiłem przypadkiem na właściwą drogę? Zresztą mniejsza z tym - dodał po chwili bardziej zdecydowanym głosem. - Nie muszę przecież iść tam, gdzie on sobie wymyślił. Kim on w ogóle jest? Nawet się nie przedstawił! - Przypomniał sobie swoje oburzenie.

Szedł jednak dalej na północ, a gdy po południu zatrzymał się na posiłek na osłoniętej od wiatru polanie. Był już na zboczu góry. Pokrzepił się wyciągniętym z plecaka ziarnem słonecznika i suszoną poziomką, zzuł buty i położył na miękkim mchu. Otulony jego ciepłą, pachnącą miękkością, natychmiast zapadł w drzemkę.

Śnił, że jest olbrzymem i patrzy z góry na świat pełen ruchu małych stworzeń. Widział ludzi pracujących na polu i sójki goniące się ze sroką w gałęziach świerka. Widział stado saren biegnące przez las i myszołowa wypatrującego zdobyczy wśród łąk. Jego wzrok sięgał daleko a jego myśli bujały między chmurami. Czuł się bardzo spokojnie, aż naraz zauważył małego skrzata w żołędziowej czapce. Skrzat również go zauważył i zaraz skrył się w paprociach, gdzie Bolko-olbrzym stracił go z oczu. Teraz jego myśli nie przepływały już przez głowę jak chmury po niebie. Jego spokój prysł. Poczuł, że musi odejść gdzie indziej, by go odzyskać, lecz jego nogi były zimne i skostniałe i nie mógł nimi poruszać. Wtedy zbudził się i stwierdził, że jest już wieczór, słońce schowało się za drzewa, a zimny wiatr wieje mu po bosych stopach. Orzeźwiony długą drzemką, Bolko postanowił nie szukać miejsca na nocleg i ruszyć w dalszą drogę.

Za nim, nad łąką i dalej nad gąszczem paproci i skalistymi pagórkami zapadał zmierzch. Przed nim, między wyniosłymi bukami gęstniał już mrok nocy.
Nie zastanawiając się Bolko ruszył żwawo przed siebie i w krótkim czasie pogrążył się w ciemnym lesie.

Płomień w ciemności

Skrzaty widzą całkiem nieźle nawet w niemal kompletnych ciemnościach, dlatego Bolko potykał się rzadko mimo, że na dno lasu niemal nie docierało światło gwiazd, a księżyc dopiero szykował się, by wzejść na puste, czarne niebo. Stroma droga pod górę była jednak bardzo uciążliwa. Musiał co i rusz wspinać się na bukowe korzenie, grube i śliskie, a drogę zagradzały mu nieraz kamienie tak duże jak on sam. Gdy tak się mozolił, kłębiące się w jego głowie myśli powoli uformowały się w pytanie:



- Co ja właściwie robię? - przystanął i rozejrzał się po ciemnym lesie zaskoczony nagłą zmianą. - Cała ta wycieczka zrobiła się chyba nieco zbyt niebezpieczna. Przeprawić się przez rzekę to jedno, ale zabawa w chowanego z olbrzymami i wykradanie klucza groźnym czarownikom, to już trochę przesada. - Tak sobie właśnie powiedział, lecz zamiast zawrócić ruszył zaraz znów pod górę. Ta sama siła, która kazała mu wyruszyć w świat, teraz nie pozwalała mu zboczyć z drogi. Po prostu czuł, że zawrócić nie chce i nawet całe to gderanie nie może tego zmienić.

- Dobrze więc. Pójdę i zdobędę ten klucz - postanowił. - Ale potem wracam do domu!

Po kilku godzinach marszu dotarł do skraju lasu. Skalisty krajobraz, który rozpościerał się powyżej, rozświetlony jasnym blaskiem księżyca wydawał się jakiś nienaturalny i odpychający. Bolko postanowił więc na razie nie wychodzić spod osłony drzew i przespać się do rana. Łatwo znalazł przytulną jamkę pod korzeniem i pościeliwszy sobie suchymi liśćmi, zawinął się w koc.

Obudził go śpiew ptaków. Nagie skały, pomimo światła poranka, wciąż nie wydawały się zachęcające. Przemógł się jednak i ruszył w dalszą wędrówkę pod górę. Czuł się obco i bardzo samotnie. Co prawda po jakiejś godzinie marszu odnalazł po drodze małe oczko wodne, pełne zimnej, czystej wody, lecz gdy odświeżony pomyślał o ognisku i posiłku, zorientował się, że nie niesie już ze sobą kociołka, w którym mógłby ugotować ciepłą strawę. Widocznie zostawił go w obozowisku nad jeziorem, bo nie przypominał sobie, by kociołek dyndał mu przy plecaku podczas wędrówki. Przygnębiło go to jeszcze bardziej. - Co za dziwny, ponury dzień. - Pomyślał - Co robić w tej sytuacji? Musiałbym wracać kawał drogi, by go odnaleźć. Ryzykowałbym powtórne spotkanie z olbrzymem. - Usiadł i zjadł zimny posiłek złożony z tego, co jeszcze miał w plecaku, a więc głównie okruchów placka z żołędzi. Uzupełnił też zapas wody i właśnie nachylając się z bukłakiem nad taflą wody ujrzał swoje odbicie. Spojrzał na brodę, która urosła już dłuższa, niż się spodziewał, na dębową czapkę, którą nosił już od tak wielu lat. Wreszcie swoje własne spojrzenie. Te oczy, patrzące na niego jak spod wody, poruszyły w nim nagle jakieś silne wspomnienie. Sam nie wiedząc czemu to robi, skoczył na równe nogi, zarzucił plecak na ramiona i z nową energią ruszył w górę. Trudno, dam sobie radę bez kociołka, nie idę przecież na długo. Jak tylko zdobędę klucz, wrócę tą samą drogą - powiedział sobie.



Szedł teraz szybko, jakby czas miał się zaraz skończyć. Czas na co? Nie zastanawiał się nad tym. Tymczasem Góra Bez Imienia zdawała się nie mieć końca. Jakby wciąż rosła pod jego stopami. Za każdym razem, gdy wspinał się na skałę, która zdawała się być ostatnią, ponad nią pojawiała się kolejna.

- A cóż to? - Sapnął zdyszany, gdy mały zimny okruch spadł mu w pewnym momencie wprost na czubek nosa. Stanął, by rozejrzeć się dookoła. Padał śnieg. Wszędzie wokół drobne białe płatki opadające powoli, wirujące w powiewach wiatru. A dalej, za nimi, ach co za widok. Bolko nigdy w swoim życiu nie był tak wysoko i nie patrzył na równą linię horyzontu. Niemal zakręciło mu się w głowie od bezmiaru przestrzeni. Pagórki, lasy, a dalej długo płaska przestrzeń i dopiero hen na horyzoncie coś, co wyglądało jak kolejne pasmo górskie. Obraz szybko się jednak zatarł, śnieg padał coraz gęstszy i gęstszy. Wiatr wzmógł się i zaczął teraz zacinać śniegiem prosto w twarz, Bolko owinął się szczelniej płaszczem i ruszył w dalszą drogę. Przez dłuższy czas towarzyszył mu jeszcze obraz, który zobaczył. Idąc pomrukiwał do siebie i wciąż kręcił głową z niedowierzaniem.

- Więc tak oglądają świat olbrzymy. Nie dziwię się teraz, że rozdepczą czasem kogoś przez nieuwagę.

Wkrótce śnieg zasypał skały i sterczące spomiędzy nich tu i ówdzie kępki traw. Bolko zapadał się w miękkim puchu po kolana, szedł jednak powoli i uparcie na przód.



Odpoczął nieco dopiero, gdy schował się pod wielkim samotnym świerkiem, który znalazł się na jego drodze. Żując kawałek suchego placka zastanawiał się, czy nie przeczekać śnieżycy w zacisznej kryjówce pod jednym z konarów. Doszedł jednak do wniosku, że jeśli zostanie, śnieg może zasypać świat wokół na taką wysokość, że mógłby się nie wydostać. Niechętnie wznowił więc wędrówkę i piął się jeszcze długo. A gdy zamieć mijała, wyczerpany do cna spostrzegł, że tymczasem zapadła noc. Zrozpaczony rozglądał się za jakimkolwiek schronieniem. Zewsząd otaczała go biała pustka poprzecinana stromymi ścianami skalnymi, na których śnieg nie miał jak się osadzić. Skierował się więc ku jednej z nich mając nadzieję, że ochroni go choć od wiatru. Tam spostrzegł początek schodów. Wykute w ciemnej, prawie czarnej skale wrzynały się w nią głęboko i choć były na tyle wysokie, że z pewnością nie zostały wykute dla nóg skrzata to Bolko mógł się na nie wspiąć z niewielkim jedynie trudem.

Gdyby nie był tak zmęczony, być może zadałby sobie pytanie jak to się stało, że schody nie są zaśnieżone. Nie leżał tu ani jeden płatek śniegu i ani najlżejszy wietrzyk nie docierał między przepaściste ściany. Ziąb nie ustał a być może nawet wzmógł się. Mróz zdawał się bić od samych skał i schodów. Wszystko to nie poruszyło jednak żadnej myśli w głowie zmordowanego wędrowca. Marzył, tylko o tym, aby znaleźć jakąś szczelinę, w której mógłby się wygodnie owinąć kocem i zasnąć.

Może więc i lepiej, że żadnej nie znalazł, mógłby tam biedak z łatwością zamarznąć i już nigdy się nie obudzić. Zamiast tego spostrzegł w pewnym momencie światło. Z początku zdawało mu się, że wzrok płata mu figle ze zmęczenia, wspiąwszy się jednak kilka schodów wyżej, ujrzał wyraźnie odblask ognia. Ognia! Ciepłego, ożywczego ognia. Myśl, że mógłby się teraz znaleźć w przytulnej izbie i ogrzać dodała mu sił. Nie myślał już więcej wiele, tylko znów ruszył z uporem przed siebie, aż wyraźnie ujrzał dużą kamienną budowlę o spadzistych dachach. Sądząc po wielkości należeć musiała do ludzi i była niegdyś zamkiem, choć teraz częściowo zmienionym już w ruinę. Światło biło z jednego z jej okien i ze szczeliny niedomkniętych drzwi. Co za niedopatrzenie ze strony gospodarza!

Naturalnie Bolko powziął od razu zamiar skorzystania z tak nadarzającej się okazji. Był przemarznięty, głodny i zmęczony ciężkim marszem, chciał czym prędzej schronić się przed zimnem i śniegiem. Ktokolwiek mieszkał w tej jakże niegościnnej okolicy, wydawał mu się w tej chwili mniej straszny niż wizja pozostania na zewnątrz. Szybko przecisnął się przez szczelinę w drzwiach.



Znalazł się w pustym korytarzu, na którego końcu znajdowały się kolejne drzwi, otwarte na oścież. Za nimi widać było kręcone schody, na których tańczyły odblaski ognia. Bolko ruszył w ich stronę, ledwie jednak zrobił kilka kroków, rozległ się głośny zgrzyt i spod sufitu opadła prosto na niego stalowa klatka z grubych żelaznych prętów. Gdy uderzała o podłogę, huknęło tak, jakby sto armat wystrzeliło naraz. W głowie mu zawirowało, a w oczach pociemniało. Upadł bez czucia na zimną posadzkę.

W niewoli

Bolko nie wiedział, jak długo leżał na zimnej podłodze. Zbudził go odgłos kroków odbijający się echem od ścian korytarza. Dopiero po chwili zrozumiał sytuację i rzucił się do ucieczki. Na darmo jednak. Choć otwory między prętami wydawały się wystarczające, by pomieścić nawet całkiem grubego skrzata, a Bolko nie był bynajmniej otyły, to gdy tylko próbował przecisnąć się przez dowolny otwór, ten natychmiast stawał się zbyt ciasny. Cóż to znowu za czary? Czyżby pręty były żywym stworzeniem, a nie kawałkiem martwego metalu? Odgłosy kroków stały się głośniejsze, Bolko ocucił się całkiem i od razu zrozumiał w jak opłakanej sytuacji się znalazł. Usłyszał ostrzeżenie białobrodego starca, tak jakby ten stał znowu, przeniesiony magiczną mocą tuż obok niego - „Władca Góry Bez Imienia jest potężnym, złym czarownikiem. Nie daj mu się schwycić."

Było już jednak za późno. Z klatki nie było ucieczki! Po chwili Władca Góry ukazał się jego oczom. Był olbrzymi. To znaczy nie tak duży jak olbrzym, był jednak wielkości człowieka, a to już dla skrzata wystarczająco dużo, by powiedzieć „olbrzymi". Za to zupełnie nie wyglądał na władcę. Prawdę mówiąc bardziej przypominał włóczęgę albo wiejskiego pastucha. Chodził boso, w nieco za krótkich, połatanych portkach, koszuli o szerokich rękawach i wełnianym kożuchu zarzuconym na kark. Twarz miał rumianą, nos pękaty jak ziemniak i długą siwiejącą brodę. Całość wieńczyło wysokie czoło, a pod nim dwoje żywych oczu, które przypatrywały się Bolkowi z widocznym rozbawieniem.

- Ho ho, co to za ptaszyna nam się złapała? - zawołał z pozoru wesołym głosem. - Patrzcie no jaki maluch. I o to całe zamieszanie?

Stalowa klatka uniosła się tak nagle, jak wcześniej opadła, a wielkie paluchy capnęły skrzata za płaszcz i uniosły do góry prosto przed brodate oblicze Władcy.

- I na to schody sprzątałem? Powiedz no, idzie ktoś jeszcze za tobą, kruszynko? Może ten wasz słynny skrzarodziej? I jego też chętnie bym złapał w sidła. Nie, znam go! Jest za sprytny żeby tu tak po prostu przybyć. Dlatego wysłał ciebie. Nie wiem tylko jeszcze po co. Hmm?

Bolko był zbyt przerażony, by cokolwiek odpowiedzieć. Drżał cały, a gardło miał ściśnięte, jakby kto na nim supeł zawiązał. Czarownik, nie doczekawszy się żadnej reakcji, pomruczał coś pod wąsem niezadowolonym głosem i uniósł go z sobą po schodach wysoko, aż do małej izdebki, gdzie umieścił go w niewielkiej złotej klatce wiszącej pod powałą.



- Tu sobie ptaszku zamieszkasz. Może nauczysz się śpiewać. - Powiedział, po czym wyszedł.

Klatka ta miała okazać się domem Bolka na trzy miesiące. Najdłuższe trzy miesiące w jego życiu, podczas których wielokrotnie miał żałować, że w ogóle wybrał się na tę wyprawę. Tymczasem jednak jeszcze o tym nie wiedział. Po krótkiej szarpaninie, stwierdziwszy, że nijak nie może jej otworzyć, zasnął strudzony w swym ciasnym, pozłacanym więzieniu i spał wiele godzin.

Gdy się obudził, obok niego stał naparstek wody, dla skrzata duży jak kubeł, a także okruchy chleba i sera, oraz drugi naparstek, który jak szybko domyślił się Bolko, miał mu posłużyć za nocnik. A więc Władca Góry nie tylko nie zamierzał go zabijać, ale nawet chciał o niego dbać? Pomimo opłakanej sytuacji, podniosło go to na duchu.

Mijały dni. Czarownik odwiedzał komnatkę od czasu do czasu. Sprzątał, uzupełniał jedzenie, a czasem stał chwilę przy klatce obserwując Bolka tak jak dzieci obserwują złapaną w szklankę muchę.

- Lepiej mi było złowić papugę - zrzędził - mógłbym nauczyć ją mówić. - Hej, ty tam, kiwnij no choć głową, jeśli rozumiesz, co mówię. Po co cię przysłał ten wasz czarownik? - Bolko nigdy mu jednak nie odpowiadał. Było dla niego oczywiste, że Władca Góry nie ma dobrych intencji. Mówił na przykład:

- Zapomnij o tym starym głupcu, cokolwiek ci naopowiadał. Zapomnij o wszystkich skrzatach. Nic ci po nich! Pomyśl sam, czy opuściłbyś swój dom, gdyby im na tobie zależało? Nie, nikt się nie przejął twoim zniknięciem i nikt na ciebie z pewnością nie czeka. Zostań u mnie, a wypuszczę cię i nagrodzę sowicie za pomoc, jaką możesz mi wyświadczyć.

Jako się rzekło, Bolko odpowiadał jedynie milczeniem. Całymi dniami siedział więc w klatce, powoli tracąc nadzieję na ucieczkę. Tęsknił coraz bardziej za swym domem i zieloną dąbrową.

- Cóż mi do głowy strzeliło, żeby w ogóle gdziekolwiek wyruszać - coraz częściej nie mógł sobie przypomnieć. Wspomnienia i sny zaczynały mu się bowiem mieszać w jedną niejasną gmatwaninę. Tak to czasem bywa, gdy nie ogląda się światła słonecznego zbyt długo. A może sprawiały to też złe czary ponurego zamczyska, w którym się znalazł?

W małej komnacie, w której przebywał nie było nic tylko stolik z wielką, wiecznie zamkniętą księgą i krzesłem. Nie było nawet okna, więc jedynym światłem, jakie docierało do oczu Bolka były odblaski płonącego w korytarzu łuczywa. Skrzat szybko stracił rachubę dni. Zamiast tego z nudów liczył ile szczurów zobaczy między jednym, a drugim snem. Pełno ich było w zamku i często przemykały schodami w górę i w dół.

Raz jeden z nich skręcił ze schodów i wszedł do komnatki Bolka. Miał popielate futerko i ciemną plamkę za lewym okiem. Znęcony może zapachem sera z klatki, stanął na środku pomieszczenia i węszył kręcąc ruchliwym nosem. W ślad za nim, bezszelestnie jak cień, wszedł duży czarny kocur i przyczaił się do skoku. Bolko widząc to wszystko z góry, krzyknął: - Uciekaj! W tym samym momencie kot skoczył, chybił jednak celu. Ostrzeżony szczur zdążył uskoczyć w bok i zaraz czmychnął na schody. W ten sposób Bolko zyskał nowego wroga w postaci czarnego kocura, którego jak miał się później dowiedzieć, czarownik nazywał Lizusem i trzymał w zamku właśnie po to, by ten polował na pleniące się szczury. Lizus nie interesował się wcale dziwnym nowym kanarkiem swojego pana wiedząc dobrze, że ukarano by go, gdyby próbował dobrać się do zawartości złotej klatki. Od tej pory jednak nie omieszkał okazać Bolkowi swej złości przy każdej sposobności. Czasami budził go ze snu nagłym sykiem, czasami prychnął głośniej przechodząc koło komnatki, w której wisiała klatka.

Jego spojrzenie mówiło - Któregoś dnia mój pan znudzi się tobą, a wtedy ty i ja zabawimy się w kotka i myszkę.

Pewnego dnia, w monotonnej codzienności coś się zmieniło. Czarownik zaczął spędzać w pokoiku na szczycie wieży więcej czasu. Przychodził wieczorami, stawiał na stoliku świecę i otwierał księgę. Siedział potem długo wertując jej ciężkie karty. Czytał mamrocząc pod nosem, czasem coś dopisując od siebie. Bolko w końcu miał okazję dowiedzieć się, co też znajduje się w środku. Z miejsca w którym był uwięziony, miał doskonały widok ponad ramieniem zgarbionego czarownika. Dziwna to była księga. Całe strony zapisane były opisami ziemi i skał, roślin i grzybów, zwierząt dzikich i udomowionych, strasznych i groźnych potworów, zjawisk przyrody takich jak burze, mgły, deszcze i wiatry i wielu wielu innych rzeczy, które spotkać można na ziemi. Bolko, mając pewną wiedzę na temat lasu, dostrzegł kilka niezbyt trafnych informacji na temat roślin, które mogłoby korzystającego z nich przyprawić o chorobę, a nawet śmierć. Jednak to druga część księgi, do której Władca Góry zaglądał tylko po zmroku, zainteresowała skrzata najbardziej. Zawierała ona opisy magicznych zaklęć. Czarownik z każdym dniem był coraz bardziej pochłonięty studiowaniem zaklęć pomagających odkryć to, czego nie widać. Czasem nawet zacierał ręce i mamrotał coś do siebie podniecony.

- Jest jeszcze młody, dam sobie radę... - dolatywało do uszu Bolka. Albo znów innym razem - a skarb będzie mój, mój! - Najwyraźniej próbował kogoś odnaleźć. Kogo, tego skrzat nie wiedział, ani też bardzo go to w tamtym momencie nie obchodziło.

Jednej nocy Władca Góry usnął zmęczony przy stoliku, a traf chciał, że księga pozostała otwarta na stronicy opisującej, jak za pomocą czarów otwierać to, co zamknięte. Skrzat przeczytał magiczną formułę kilkakrotnie bezgłośnie, aż w końcu upewniwszy się że wszystko pamięta, powtórzył ją cicho na głos. W tym samym momencie czarodziejska klatka otworzyła się i drzwi uchyliły się lekko. Nie czekał na zachętę, wspiął się zaraz na klatkę, po łańcuchu aż na belkę, pod którą była zawieszona po czym ześlizgnął się w dół po filarze. Znalazłszy się przy śpiącym czarowniku powtórzył czar otwierania. Kółko z kluczami uchyliło się i skrzat z łatwością zsunął z niego najmniejszy z kluczy, który akurat mieścił mu się w dłoni.

Teraz jednak szczęście najwyraźniej go opuściło, bo zdążył pokonać może dwa schody w drodze na dół, gdy z komnatki dobiegło głośne brzęknięcie. Jedno i zaraz drugie, trzecie, czwarte... To klucze musiały sypać się na podłogę z otwartego kółka.

Po chwili też dało się słyszeć głośne sapanie i pełne zdziwienia - A cóż to!? Co tu się dzieje!?

Bolko nie opuszczał się już z kolejnych schodów, począł z nich zeskakiwać nie bacząc na wysokość. Za nic w świecie nie chciał wrócić do klatki, nie mówiąc o stawieniu czoła czarownikowi po tym, jak ukradł mu jeden z kluczy. Biegł na oślep, a za nim wzmagały się groźne posapywania, aż w końcu rozległ się pełen gniewu krzyk i plaskanie wielkich bosych stóp po kamiennych schodach. Zguba została odkryta.

Ratunek przybył całkiem nieoczekiwanie. Duży popielaty szczur z ciemną plamką za okiem wyskoczył naraz nie wiadomo skąd, wygiął grzbiet i machnął łapką w stronę Bolka, który w mig zrozumiał zaproszenie. Jak jeździec na płowym rumaku popędził teraz w dół o wiele szybciej, niż kiedykolwiek zdołałby na własnych nogach.

- Złodziej! - krzyczał Władca Góry nie wiadomo do kogo, a echo odbijało się od ścian w pustym zamczysku. - Łapać złodzieja!

Miał pewnie nadzieję przywołać kocura Lizusa, nie wiedział jednak, że ten w tym samym momencie wywabiony przez grupę innych szczurów ganiał po drugim końcu



zamku, gdzie nie miał szans usłyszeć krzyków swego pana. Z wdzięczności za uratowanie jednego z nich, gryzonie odwdzięczały się teraz jak umiały.

U stóp schodów Bolkowy rumak niespodziewanie skręcił nagle w bok za stojącą w rogu skrzynię. Tam wskazał pyszczkiem na szparę w ścianie, po czym sam zwinnie wskoczył w nią pierwszy. Bolko szedł teraz przez ciasne, ciemne korytarze trzymając za koniec szczurzego ogona. Bardziej wyczuwał, niż widział, że kręci się tu więcej tych stworzeń. Czasem słychać było ciche popiskiwania, czasem jakieś miękkie futerko otarło się o jego rękę.

Szli tak jakiś czas, aż powiew świeżego powietrza owionął mu twarz. Nie czuł tego zapachu od wielu tygodni i teraz aż zachłysnął się nim. Kilka kroków dalej zrobiło się jasno i w końcu wyszli na otwartą przestrzeń. Jaskrawe dzienne światło zalało mu powieki. Musiał zamknąć odzwyczajone od słońca oczy. Oddychał tylko pełną piersią, a łzy kapały mu z oczu ze wzruszenia.

Gdy w końcu mógł spojrzeć na świat, czuł się jakby patrzył nań po raz pierwszy w życiu. Stał na śniegu pod boczną ścianą zamczyska. Przed nim rozciągał się skalisty szczyt góry, w dole pod którym rozciągał się las, a dalej za nim kolejne szczyty, niższe niż Góra Bez Imienia i o łagodniejszych zboczach.

Ciche, ponaglające popiskiwania przypomniały mu, że wciąż jeszcze jest w niebezpieczeństwie. Wokół zgromadziło się całe stadko szczurów. Jeden z nich trzymał w pyszczku jego plecak i koc. Wetknął je w ręce skrzata, a inny trącił go lekko nosem w plecy zdając się mówić: - Idź już, uciekaj.

- Dziękuję wam, przyjaciele. - Powiedział Bolko - Dziękuję za ratunek. Nigdy wam tego nie zapomnę! - Uściskał na pożegnanie popielatego szczura, który wywiózł go z zamku, pomachał ręką reszcie, po czym ruszył raźno po skałach w dół.

A czas był najwyższy, bo właśnie ciężkie zamkowe odrzwia rozwarły się głośno skrzypiąc i wypadł z nich Władca Góry. Brodę miał zmierzwioną, twarz zaciętą, co było widać nawet z daleka. Myślał widać, że skrzat uciekł tą samą drogą, którą do zamku przybył, bo wygrażając pięścią w stronę skalnych schodów krzyknął:

- Poczekaj no mały złodzieju! Już ja cię załatwię! - I jak nie zaczął rękami wymachiwać i wykrzykiwać jakichś słów niezrozumiałych! Skrzat nie czekał, co się dalej stanie i jak tyle już razy w tej opowieści, znów puścił się pędem, zbiegając w poszukiwaniu kryjówki. Nie widział, jak za jego plecami czary zaczynają działać, nad górą nagle zaciemnia się niebo i niczym w wielkim kotle kłębią się na nim czarne burzowe chmury.

Gdy dobiegał do skraju lasu huknęło naraz tak, że ziemia się zatrzęsła, a jasny błysk oślepił go na dłuższą chwilę. Piorun trafił prosto w czarne skały, w których wykute były schody do zamku, rozłupując je na tysiące głazów i kamieni, które poleciały w dół lawiną. Gdyby Bolko był wtedy na schodach, zginąłby niechybnie.

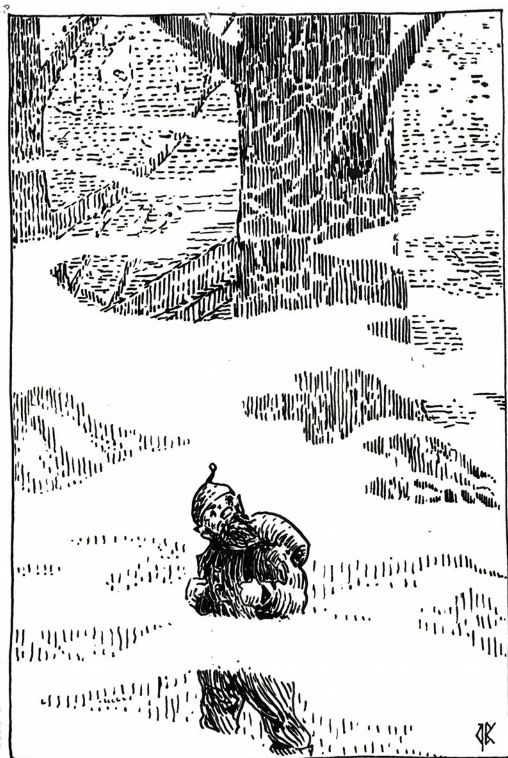
Tymczasem żył. Choć nogi miał słabe. Dziękując losowi pędził w dół co tchu, potykając się w topniejącym śniegu, niezauważony przez złego czarownika. Przez las, przez polany, biegł póki sił starczyło. W głowie kręciło mu się od świeżego powietrza i refleksów słońca. Wolny, na reszcie wolny! Cóż to za radość!

Biegł rozchlapując strugi wody, a w koło bieliły się przebiśniegi.



Święte drzewo

Bolko błąkał się od jakiegoś czasu we mgle, która zalegała w dolinie. Dawno zgubił już wyczucie kierunku. Szedł, nie wiedząc dokąd i rozmyślał o tym, dlaczego w ogóle wyruszył z domu. Nie mógł sobie tego jasno przypomnieć. Jakaś ciemna chmura kłębiła mu się w głowie. Pamiętał dobrze tylko wypadki ostatniego dnia i pamiętał o kluczu schowanym pod koszulą. Klucz oddać miał starcowi z długą brodą i w równie długim kapeluszu, to wiedział na pewno. Tylko jak go odnaleźć?



Zagadka wyjaśniła się niebawem sama, gdy nieznajomy w ten sam sposób co kiedyś, pojawił się nagle znikąd pośród mgły.

- Wybacz, Dębowa Czapko. Myślę, że należą ci się pewne wyjaśnienia. - usłyszał Bolko jego cichy, lecz wyraźny głos i podniósł wpatrzony dotąd w ziemię wzrok. Nieznajomy stał tuż obok w swej spiczastej czapie i przyglądał mu się badawczo. Choć oczy miał stare, a brwi siwe i krzaczaste, wzrok jego był bystry i spojrzenie przejrzyste - Na początek pozwól, że się przedstawię, bom tego nie uczynił poprzednio. Jestem nadwornym skrzarodziejem króla Ziemipełka, zwą mnie Modraczek. Klucz, który miałeś zdobyć jest zaginionym kluczem do królewskiego skarbca.

- Ach tak, klucz. - Bolko sięgnął w fałdy swej koszuli i wyciągnął wykradziony przedmiot. Skrzarodziej mówił dalej - Przyjmij ten oto miecz w zamian za to, co mi przyniosłeś i za cały twój trud. Zwie się Błysk. Powiadają o nim, że odbija to, co przyświeca jego właścicielowi. Gdy działa w dobrym celu, będzie świecić jasno i będzie twardy jak diament. Gdy w złym, sczernieje i stanie się kruchy jak zwęglone próchno. A teraz chodź ze mną, pomogę ci wrócić na twój szlak.



Szli po miękkim dywanie mchów, a skrzarodziej opowiadał Bolkowi o królu i jego świcie. O podziemnym pałacu, który dawno temu musieli opuścić i o tym jak później przez wieki błąkali się po świecie nie mogąc znaleźć odpowiedniego miejsca na nową siedzibę, a skrzaty wszystkich ziem zapominały powoli o królu i o czasach gdy mieszkały w ludzkich domostwach. To wtedy właśnie pewien człowiek wędrujący w towarzystwie czarnego kota oszukał osamotnionego króla Ziemipełka i wykradł mu klucz do skarbca.

- Teraz dzięki twojej odwadze i poświęceniu klucz powróci do prawowitego właściciela. Na szczęście Władcy Góry nigdy nie udało się odnaleźć ukrytego skarbu. Wokół króla znów zbiera się świta. Wkrótce skrzaty wszystkich ziem znów ściągną na jego dwór.

W ten sposób dotarli do małego oczka wodnego.

- Spójrz - rzekł stary skrzat - oto źródło mądrości. Bije z głębi ziemi, gdzie tkwi nie tylko to co było ale i co będzie. Ono może pokazać ci dokąd zmierzasz, a na pewno

doda ci sił, których będziesz potrzebował. Mam nadzieję, że to wynagrodzi ci chociaż częściowo niewygody, których doznałeś, za które jeszcze raz cię przepraszam.

Bolko zamyślony nad tym wszystkim, co dopiero usłyszał, nachylił się nad czystym lustrem wody.

- Dokąd idę? - pomyślał - Czego szukam?

Woda była całkiem przezroczysta. Widać było każdą drobną falę na piaszczystym dnie. Światło tańczyło wesoło ruchomą mozaiką na powierzchni. Zrobiło się całkiem cicho. Bolko zapatrzył się w toń i po chwili zobaczył jak mglisty krajobraz wokół niego zatańczył wraz z wodami źródła i zatarł się. Tkwił teraz w głębokiej studni, a wysoko nad sobą widział powierzchnię wody i jasne światło dnia migoczące między liśćmi drzew. Chciał się wspinać, lecz palce ześlizgiwały się po stromych ścianach. Chciał wezwać pomocy, lecz pod wodą jego głos jedynie cicho zabulgotał w czarnej wodzie. Wtedy przypomniał sobie o mieczu. Wyciągnął go i naraz studnia stała się wieżą o stromych, kamiennych ścianach. On stał pod wieżą i patrzył wciąż w górę, a w oknie na jej szczycie coś błysnęło jasnym blaskiem. Dwoje jasnych oczu, których widok napełnił go nadzieją i siłą.

- Już widziałem te oczy - przypomniał sobie Bolko. - Oczy ze snu. To przez nie ruszyłem w drogę.

- Kim jesteś? - krzyknął.

- Przybądź! - usłyszał miękki głos w odpowiedzi. - Idź wzdłuż strumienia.

Była noc, a oczy płonące ogniem gwiazd były teraz dwoma z niezliczonych gwiazd na niebie. I coś jeszcze błyszczało w ich świetle. Łuska smoka, który czaił się w jaskini za wieżą. Teraz gdy nastały ciemności wyszedł, rozpostarł skrzydła i rozwarł paszczę. Bolko zadrżał. Chciał uciekać, ale wiedział, że nie może. Patrzył tylko na smoka, a ten rozdymał się w oczach i ział ogniem wszędzie w około. Wkrótce płonęła wieża, płonęła ziemia i lasy, a Bolko stał w środku tego pożaru czując, że nic już nie może poradzić.

I wtedy obudził się, cały zlany potem. Leżał na kępie mchu pod wielkim, starym dębem którego korona rozpościerała się nad nim szeroko we wszystkie strony. Obok leżał jego miecz i plecak, nieopodal pluskał cichutko kryniczny strumień. Nie było już ani źródła, ani skrzarodzieja, ani wieży, ani smoka. Spojrzał w górę i ujrzał nad sobą potężne konary i gąszcz dębowych liści. Cisza i spokój przepełniały to miejsce tak mocno, że poczuł je także w sobie. Ściągnął kapelusz w wielkiej czci i pokłonił się drzewu:

- Bądź zdrów, o najstarszy.

W tym samym momencie zawiał lekki wiatr i zrzucił na wody strumienia kilka liści, które teraz wirując popłynęły lekko jakby wskazując mu drogę.

- Przybędę - odpowiedział głosowi ze snu - Przybędę, tylko jeszcze muszę załatwić jedną sprawę.

I ruszył wzdłuż strumienia przeskakując zwinnie z kamienia na kamień, bo czuł się silny i lekko mu było na duszy.



Smocze jajo

Nie zaszedł daleko, gdy cicho szemrząca struga, za którą podążał, zmieniła się w huczący między kamieniami górski potok, który wrzynał się głęboko między piętrzące się z obu stron skały. Niewiele słonecznego światła dolatywało na dno przełomu, a tu i ówdzie wciąż leżały płaty śniegu. Bolko przeskakiwał z kamienia na kamień bacznie rozglądając się na boki, czuł bowiem jakąś nieprzyjazną atmosferę tego miejsca. I tak właśnie trafił na ziejące w skale wejście do groty. Poznał, że jest to ta sama jaskinia, którą ukazało mu czarodziejskie źródło. Nie czekając długo wyciągnął miecz i wszedł w ciemny korytarz. Czuł, że gdyby teraz stanął, gdyby powiedział sobie że potrzebuje usiąść dla odpoczynku, pewnie już nie zebrałby się na odwagę by to zrobić. Szedł więc dalej z uporem, choć na nieco trzęsących się nogach. Coraz głębiej i głębiej w mrok, coraz bliżej spotkania ze smokiem. Ale co to? Całkowite ciemności nie zapadały. Bolko wciąż widział drogę przed sobą i wilgotne ściany korytarza. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że to miecz, który kurczowo trzymał w dłoni, rozświetlił się lekką, niebieskawą poświatą i teraz oświetlał mu drogę. Podniosło go to na duchu i od tej pory szedł już pewniej, trzymając go nad głową jak pochodnię.

- Błysku - Pomyślał sobie. - Bądź moim przewodnikiem.

Korytarz wił się to w lewo, to w prawo, aż za którymś z kolei zakrętem rozszerzył nagle tak, że Bolko nie dostrzegał już w bladym świetle ani ścian, ani stropu. Owiała go nieprzyjemna, stęchła woń, która przyprawiała o mdłości. Szedł najciszej jak mógł wytężając wzrok, lecz pomimo całej ostrożności nie zauważył leżącego na jego drodze kamienia. Ten, kopnięty, potoczył się z lekkim stukotem, który w panującej tu ciszy wydał się gromkim grzmotem. Bolko struchlał cały w oczekiwaniu na najgorsze. Jednak echa powoli cichły, a nic więcej się nie działo.

- A cóż to - pomyślał - czyżby nie było tu żadnego smoka?

Wiedział jednak, że nie może to być prawda. Miecz świecił jasnym blaskiem w jego dłoni. Cel musiał być blisko. Potwór czaił się gdzieś w tym podziemnym labiryncie.

Bolko poczuł, że dość ma tego strachu, dość ma skradania się. Niech się w końcu wydarzy to, co ma się wydarzyć. Nabrał stęchłego powietrza w płuca i ryknął na cały głos:

- Jest tu kto? No dalej, wyłaź poczwaro!



I choć głos załamał mu się w połowie, echa spotęgowały jego okrzyk, który jak mu się zdało, powinien był obudzić nawet największego śpiocha, gdyby tylko jakiś się tu znajdował. Wciąż jednak nic się nie działo. Bolko ruszył śmiało przed siebie, nie zważając już na nic i... aż jękną, gdy zderzył się nagle z czymś twardym i omal nie rozbijając sobie nosa. Na samym środku jaskini, w gnieździe wyłożonym spróchniałymi patykami i suchym zielskiem stało jajo. Jajo nie byle jakie, bo większe od Bolka. Było ciemne, niemal czarne, chropowate w dotyku i cieplejsze niż skały. Nie odbijało się od niego światło i nawet z bliska ciężko je było dojrzeć.

Bolko zrozumiał, że przybył na czas. Smok jeszcze się nie wykluł! Nie uśmiechało mu się jednak czekać w ciemnej jamie, aż ten postanowi sam wyjść na świat. Mogło to przecież zająć równie dobrze dzień co dziesięć lat, bo smoki, jak wiedział, to zdradzieckie stworzenia. Nie sposób przewidzieć nawet daty ich narodzin.

Tymczasem jednak miał trochę czasu, jak się zdawało, żeby odetchnąć i uspokoić myśli. Ponieważ ssało go w żołądku postanowił, że najpierw się posili. Głowa wszak inaczej pracuje, gdy w żołądku nie jest czczo, wie to każdy skrzat. Wtedy dopiero

zauważył, że w plecaku niesie prezent od szczurów - dziesięć orzechów laskowych. Musiały włożyć je w czasie ucieczki z zamku. Zaraz złapał za jeden z leżących wokół kamieni i dalejże rozłupywać orzechy. Jadł, aż uszy mu się trzęsły. A przy trzecim z kolei orzechu nagle go olśniło - Nie będę czekał, smoku. Sam zdecyduję, kiedy wyjdziesz na świat. Żaden ze mnie co prawda rycerz, ale skorom cię już tu gadzie znalazł, wygląda mi na to, że to ja muszę się tobą zająć. Myślałem o tym trochę i tak mi wyszło z mojej rachuby, że to ciebie szuka Władca Góry. Jeśli cię odnajdzie, to obawiam się, że wykorzysta cię do złych celów. Otworzę więc jajo tak, jak otwieram orzechy i zmierzę się z tobą. Trzeba będzie tylko znaleźć odpowiednio duży kamień.

Przygotował więc sobie zaraz kilka kamieni, położył miecz obok, zakasał rękawy i jak nie walnie kamieniem w skorupę z całej siły! Huknęło głucho, ale skorupa nawet się nie ukruszyła. Wziął więc Bolko większy kamień i zamachnął się jeszcze raz. I tym razem jednak jajo pozostało nawet nie draśnięte. Wtedy podniósł największy kamień, jaki mógł udźwignąć. Uniósł go nad głowę, rozpędził się i cisnął nim w czarną skorupę z całej siły. Na nic jednak nie zdały się jego wysiłki, jajo stało nienaruszone.

Pomimo tych niepowodzeń, skrzat nie tracił ducha. Złapał miecz i zamachnął się po raz kolejny.

- Jeśli to prawda, co mówił skrzarodziej, jesteś teraz Błysku twardy niczym diament. Tnij więc, tnij, w tobie cała nadzieja!

Miecz zaświecił jasno w odpowiedzi. Świsnęło przecinane powietrze i ciach! Ostrze wbiło się w skorupę, choć przecież nie bardzo głęboko. Bolko złapał jeden z kamieni i uderzając raz po raz w rękojeść zaczął wbijać miecz z zamiarem rozkucia jaja na pół. Nie wbił go jeszcze nawet do połowy, gdy dobiegł go groźny pomruk, a skorupa zatrzęsła się cała od uderzeń dochodzących tym razem ze środka. Najwyraźniej smok obudził się i wychodził na zewnątrz. Nie trwało też długo, a skorupa zaczęła pękać pod uderzeniami smoczych pazurów. Bolko chwycił oswobodzony miecz i odskoczył czym prędzej, szykując się do walki.

Z powstałego otworu wysunęła się najpierw jedna i druga łapa, potem podłużny, pokryty łuską łeb, aż w końcu całe wężowate cielsko potwora. Smok był chudy i ruchy miał jeszcze nieporadne, jednak dla kogoś tak małego jak Bolko już teraz przedstawiał śmiertelne niebezpieczeństwo. Zaraz też zasyczał groźnie i rozpostarł skrzydła, od czego wydał się większy i groźniejszy, po czym powoli krok po kroku zaczął zbliżać się do skrzata rozwierając paszczę.

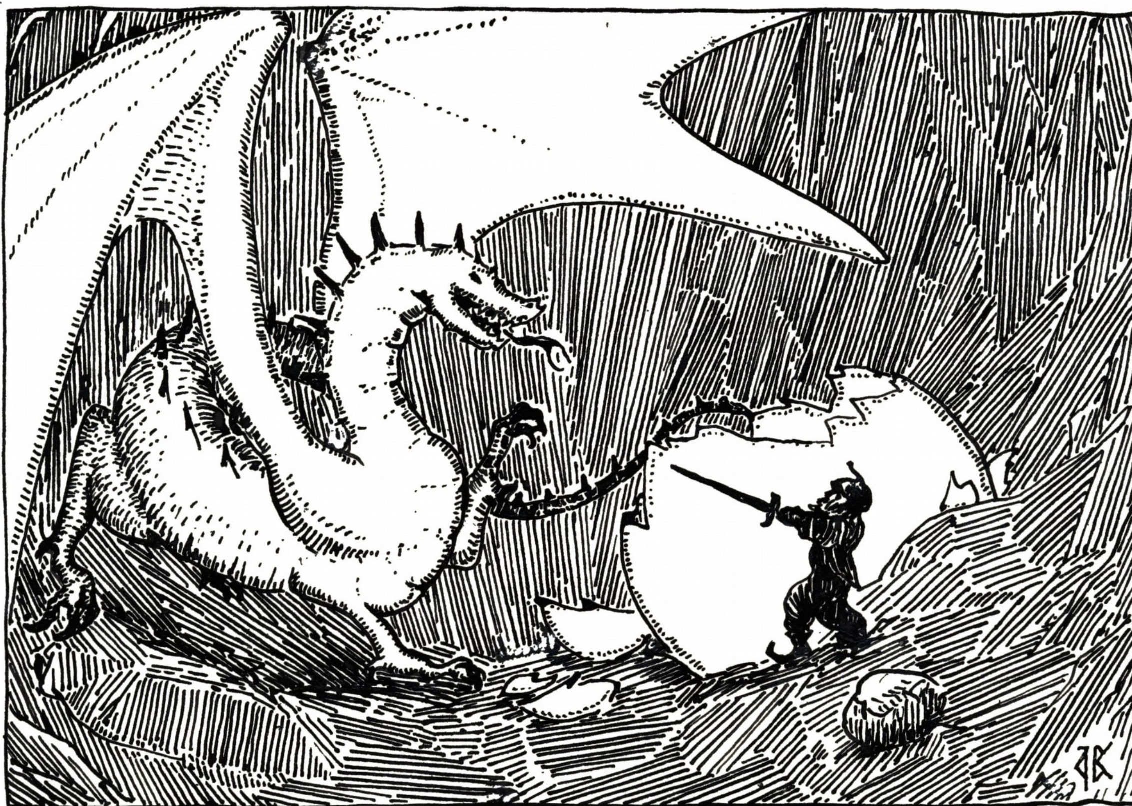
Mimo, że przecież spodziewał się takiego obrotu spraw Bolko poczuł, jak nogi wrastają mu w ziemię, odmawiając posłuszeństwa. Patrzył w żółte, gadzie ślepia

stwora, nie mogąc się ruszyć. Im bliżej ten podchodził, tym mniejszy czuł się Bolko. Nie zauważał nawet, jak coraz większym i większym blaskiem jaśniał Błysk.

W końcu smok skoczył, mając pewnie zamiar jednym kłapnięciem paszczy zakończyć całą walkę, lecz w tym momencie jasny rozbłysk miecza wybudził Bolka z odrętwienia oślepiając jednocześnie poczwarę. Skrzat uskoczył w bok, cudem unikając kłapiących zębisk, zamachnął się i jednym ciosem przeciął jaszczurowi szyję na pół. Smok legł martwy i w ciszy, która zaległa w jaskini nic się już nie poruszyło. A Bolko stał zlany potem, dysząc ciężko i w miarę jak zaczynał rozumieć, co się stało, w jego serce powoli wstępowała radość nie do opisania. Udało się! Udało!

I tak smok, na którego czekał i którego szukał wielki Władca Góry Bez Imienia, smok, który według przepowiedni źródła mądrości miał wyrządzić tak wiele szkód, nie żył, zanim zdążył porwać nie tylko pierwszą owcę, nie mówiąc nawet o księżniczkach, ale nawet choćby jedną wiewiórkę z lasu i wypuścić choćby jeden kłąb dymu z paszczy.

Nie jest to jednak jeszcze koniec historii, posłuchajcie więc, co było dalej.

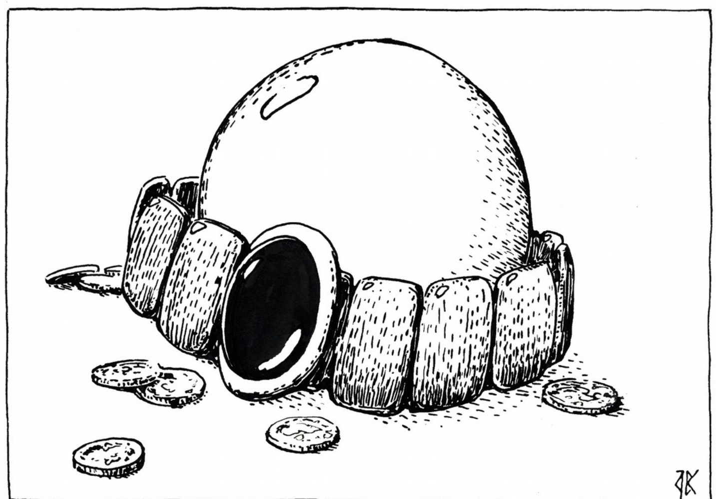


Co było dalej

Bolko wyszedł z jaskini zmęczony, jak nie był chyba nigdy dotąd, zarazem jednak czuł się przepełniony energią.

- Witaj mi, słoneczko, witajcie drzewa, kwiaty i pluszcząca między kamieniami wodo. Miło was znów widzieć i słyszeć. Ach! - przeciągnął się mocno jak ktoś, komu spadł z serca ciężki kamień. Chcąc się czym prędzej oddalić od smoczej jamy, poszedł znów w dół wzdłuż strumienia. Tam, niedaleko trafił na mały stawik w miejscu, gdzie zwalone pnie i nagromadzone kamienie utworzyły przeszkodę dla płynącej wody. Zrzucił więc ochoczo ubranie i z przyjemnością odświeżył się w lodowatej wodzie zmywając z siebie do cna trudy i troski. Po kąpieli uprał jeszcze poplamione ubrania, rozwiesił je na gałęzi by schły, a sam rozsiadł się na szerokim głazie i chcąc pokrzepić się nieco, sięgnął ręką do plecaka by wybadać, czy zostały mu jeszcze jakieś resztki orzechów albo suszone jagody. Jego ręka natrafiła jednak na coś twardego i zimnego. Wtedy przypomniał sobie o wyniesionych ze smoczej pieczary przedmiotach.

Znalazł je w pękniętej skorupie. Smok, jak się okazało, jeszcze przed wykluciem był w posiadaniu niewielkiego skarbu. Może smoczy ród obdarowywał się w ten sposób spadkiem? Bolko wyjął teraz odnalezione przedmioty na światło dzienne. Jednym z nich była sporej wielkości, niemal przezroczysta kula kryształowa. Drugim pięknie wysadzany szmaragdami pas ze złota.



- Fiu fiu - zagwizdał Bolko mimowolnie - to Ci dopiero! I co ja z tym teraz pocznę? Ciężkie to i niewygodne. - Odłożywszy skarby na bok, wysypał resztę zawartości plecaka: Pustą manierkę, nóż, krzesiwo i hubkę, dwa orzechy, ostatni kawałek suszonej poziomki i pokrojony w kostki korzeń topinambura, twardy

już i suchy. Wygłodniały, nie wybrzydzał jednak, zjadł zaraz połowę zapasów i napełnił manierkę czystą wodą zastanawiając się dokąd dalej iść.

W końcu doszedł do wniosku, że skoro idzie wzdłuż strumienia, a ten płynie mniej więcej na południe, to chyba prędzej czy później musi trafić wraz z nim nad Czarne Jezioro, do którego najpewniej wpadają wszystkie okoliczne strumienie. Gdy zaś znajdzie się tam, dalej będzie już wiedział jak trafić do domu. A skoro już tak to sobie obmyślił, ubrał się zaraz, spakował plecak i ruszył żwawo w dalszą drogę. Słońce przyświecało mu spomiędzy białych obłoków, a chóry żab śpiewały zachęcająco. Nawet smocze skarby nie gniotły tak bardzo w plecy. Wszystko zdawało się pięknie układać według jego planu, bo strumień spłynął na nizinę i rozlał się szerzej a wokół zaczęło się pojawiać coraz więcej trzcin i pałki wodnej. Szło mu się więc może trudniej, jednak spodziewał się lada chwila ujrzeć wody jeziora, co podtrzymywało go w dobrym humorze.

Zmierzch jednak zapadł, a Bolko jedynie grzązł coraz głębiej między wysokie trawy i trzciny, nie wiedział już dawno z której strony i jak daleko od niego płynie strumień, którego brzegu trzymać się było nie sposób. Znalazłszy więc suchą kępę traw, postanowił przerwać wędrówkę. Zzuł przemoczone buty i sporządził sobie wygodne posłanie z koca i szerokich liści. Myśli jego nie były już tak wesołe i beztroskie jak wcześniej. Zasypiał zasłuchany w szum wiatru wśród szuwarów.

- Dokąd idzieszszsz - syczały trzciny gnąc się lekko i dostojnie.

- Do domu - mruknął Bolko, któremu oczy już się kleiły.

- Po co idzieszszsz do domu?

- Odpocząć - odpowiedział znów.

- Czyśśś znazł to, po cośśś wyruszszszył? Czyśśś znalazł? - szumiały trzciny.

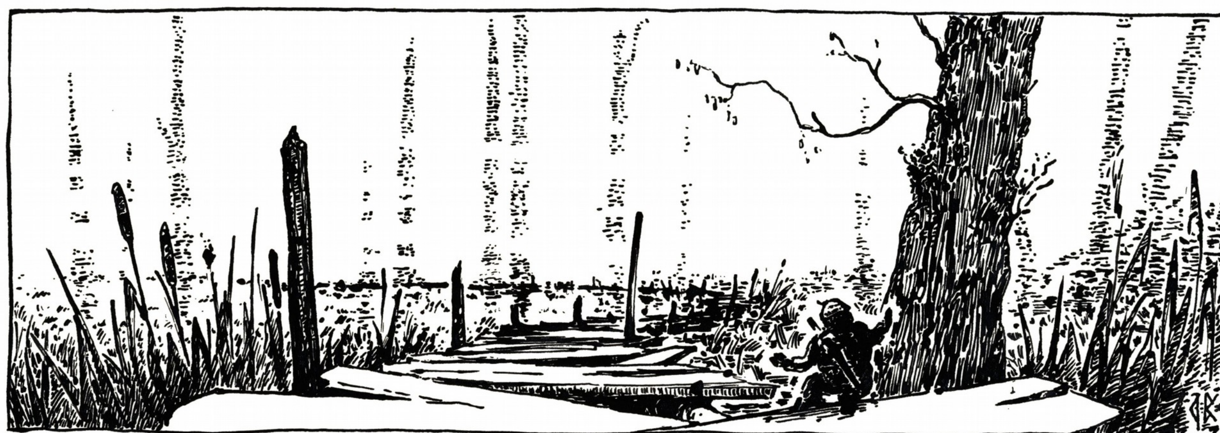
Lecz Bolko spał już, strudzony. Spod unoszących się łagodnie liści wystawał tylko jego nos. Tej nocy śniło mu się bezchmurne niebo, a na nim miliony gwiazd. Dwie z nich przykuły jego uwagę. Zbliżały się do siebie. W końcu zetknęły się i połączyły w jednym punkcie a ich światło wybuchło wtedy jaśniej, niż światło stu gwiazd. Wtedy spostrzegł, że nie patrzy na gwiazdę na niebie, tylko w okno swego własnego domu, którego tak dawno nie widział. Światło rozświetlało przez szybki okienne całą okolicę, a on czuł, że chce jak najszybciej znaleźć się znów w środku.

Następny dzień był szary i chłodny. Bolko leżał czas jakiś nieruchomo obserwując niskie zwały chmur przetaczające się ciężko po niebie. Zastanawiał się, w jaki sposób wydostać się z otaczających go mokradeł. Nie wiedział nawet gdzie jest północ, a gdzie

południe, skoro nie widać było słońca. W końcu uniósł się i sięgnął do plecaka. Wydobył resztki suchego korzenia i począł żuć.

- Zawsze to jakieś śniadanie, ale jeśli nie znajdę drogi wyjścia, przyjdzie mi tu zginąć z głodu. - mruczał pod nosem.

Sięgnął po miecz z nadzieją, że ten podpowie mu co robić. Błysk jednak wyglądał teraz zupełnie zwyczajnie. Ani cienia blasku, jakim jaśniał poprzedniego dnia. Można by pomyśleć, zwykły miecz, jakich wiele pewnie na świecie, tyle tylko że przedziwnie mały bo dla skrzata.



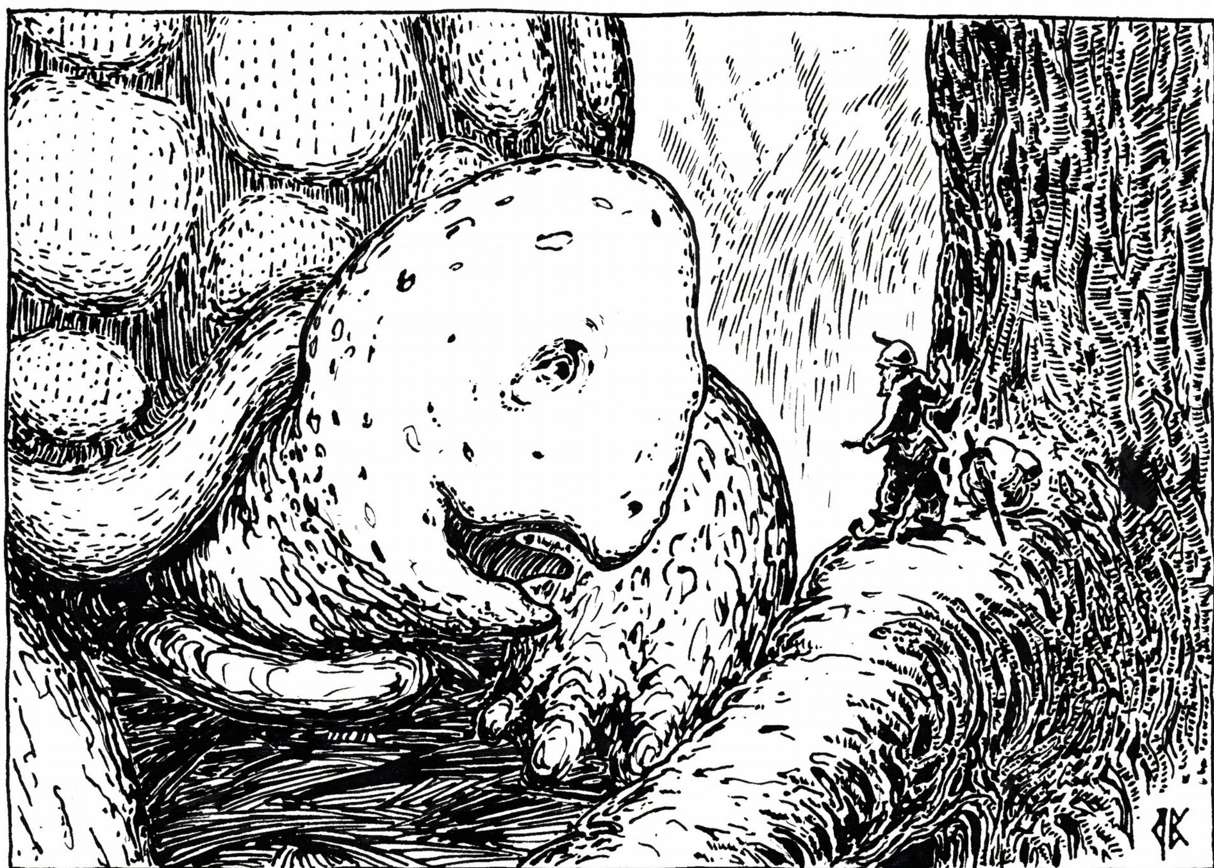
- Ach tak, kiedy trzeba narazić się na niebezpieczeństwo, wskazujesz drogę, ale gdy to bohater potrzebuje pomocy, milczysz! - zaciął usta Bolko i schował ostrze z powrotem do pochwy. - To nic, sam sobie dam radę.

Cały ranek skakał z jednej kępy traw, na drugą. Czepiał się trzcin, wpadał po kolana w błoto, aż w końcu został nagrodzony za swe wysiłki. Na małej wysepce wśród bagien, pod starą brzozą odnalazł zarosłą trzcinami i tatarakiem drewnianą kładkę. Zbudowana została wyraźnie w dawnych czasach, bo mocno już zbutwiała, a tu i ówdzie waliła się wręcz w wodę. Bolko bez wahania postanowił jednak skorzystać z niej i od tej pory szedł już znacznie szybciej, przeskakując z belki na belkę ponad wodami moczarów. Miał też teraz często dobry widok na okolicę, bardziej już wyglądającą jak jezioro, niż zarośnięte bagnisko. Czy były to wody Czarnego Jeziora, czy też całkiem inne miejsce, tego nasz skrzat nie wiedział. Miał nadzieję, że ten, kto zbudował kładkę, zbudował ją po to, by zapewnić przejście przez bagna na suchy ląd. Czekała go jednak niespodzianka. Gdy bowiem ponura, martwa tafla wody ustąpiła miejsca szuwarom, kładka urwała się tak samo jak się zaczęła pod kępą olch, na kolejnym wyniesieniu otoczonym zewsząd bagnem.

Nie chcąc dalej błądzić, Bolko postanowił wspiąć się na jedno z drzew i rozejrzeć po okolicy. Wspinaczka szła mu łatwo, bo rosochate, stare olchy więcej wyginały swe konary na boki niż wyciągały się w górę. Stanął właśnie na pierwszym z grubych konarów, gdy jakaś wielka, łysa głowa uniosła się na jego wysokość, łypiąc na skrzata obojętnym, gadzim wzrokiem. O mało nie spadł z gałęzi, tak nieoczekiwane było to zdarzenie. Zaraz też pożałował, że zostawił miecz na dole, oparty o pień drzewa. Tymczasem głowa zdawała się nie być zainteresowana ani zjadaniem go, ani jakąkolwiek formą napaści. Patrzyła dalej spokojnie, przeżuwając flegmatycznie sporej wielkości liść lilii wodnej. Należała ona bowiem, jak się okazało, do olbrzymiego żółwia, tak obrośniętego mchem i porostami, że całkiem zlewał się z otoczeniem i ciężko go było wypatrzyć, dopóki stał nieruchomo. Bolko ośmielony już nieco, odchrząknąwszy zapytał grzecznie:

- Dzień dobry. Nie wie pan może, panie żółwiu, jak mógłbym wydostać się znów na suchy ląd?

Żółw przeżuwał jeszcze przez chwilę i Bolko zaczynał się już zbierać, by powtórzyć swe pytanie znacznie głośniej, pomyślał bowiem, że żółw wygląda na naprawdę starego



i może nie dosłyszał. Jednak w końcu głowa flegmatycznie połknęła kęs nad którym od tak dawna pracowała, po czym rzekła:

- Hoho! Dawnośmy tu nie widziały takich jak ty... ani w ogóle nikogo - dodała po chwili. - Nie przychodzą już do mnie, nie pamiętają o starej, mądrej Juwaj.

- Oh, przepraszam panią najmocniej - zreflektował się speszony Bolko. - Nie wiedziałem, że pani jest panią. Ja... To znaczy...

- Nie przejmuj się mój mały. Jestem już w takim wieku, że takie drobnostki dawno już przestały dla mnie mieć znaczenie. Pan, pani, cóż za różnica... - uśmiechnęła się Juwaj, o ile żółwie mogą się w ogóle uśmiechać. Po chwili zaś zapytała - Więc nie masz do mnie żadnych innych pytań? Chcesz może, tak jak inni wiedzieć, jak zdobyć sławę i bogactwa? A może rękę księżniczki? Albo długie życie? Kiedyś pytano mnie o to często.

- Nie chcę sławy - odpowiedział Bolko - a skarb, choć może niewielki, już zdobyłem. Nie wiem tylko, co miałbym z nim począć. Nie jestem księciem, więc nie ubiegam się o rękę księżniczki. Nie potrzebuję też dłuższego życia. My, skrzaty, żyjemy długo. Chcę tylko wydostać się z tych bagien, a potem... potem chyba odnaleźć drogę do domu, choć nie wiem, dlaczego akurat tam mnie tak ciągnie.

Stara żółwica zamyśliła się, patrząc w płynące po niebie obłoki. Przez chwilę słychać było jedynie szelest trzcin i traw na wietrze. W końcu spojrzała znów na Bolka i nieco bardziej podniosłym, niż wcześniej tonem, rzekła:

- Gdy droga zatoczy krąg, nad korzeniami, które wrosły mocno w ziemię wzejdzie dawno oczekiwany owoc. Zaufaj swemu sercu i idź tam, dokąd cię wzywa. Tam, za tamtą starą olchą - wskazała głową - trafisz na ścieżkę. Wiedz, że na mokradłach, po tamtej stronie mieszkają mamuny i cała banda chochlików. Będą one próbowały zwieść cię z drogi. Jeśli jednak będziesz się trzymał ścieżki i nie zboczysz, to wyjdziesz z mokradeł i nigdy więcej już na nie nie wrócisz. Dalej pójdziesz tam, dokąd zechcesz.

Podziękowawszy grzecznie za pomoc, Bolko pożegnał się i pełen nadziei ruszył w dalszą drogę. Ścieżka, którą wskazała mu żółwica, wiła się i nieraz była tak nikła, że nawet skrzatowi nie łatwo było ją wypatrzeć, jednak zgodnie z obietnicą prowadziła go bezpiecznie i nawet czubków butów sobie nie umoczył. Trzymał się jej więc i nie zbaczał, mając w pamięci przestrogę starej Juwaj. Nie skręcił ani wtedy, gdy ujrzał na lewo od ścieżki jabłoń obsypaną czerwonymi owocami, ani gdy nieco później zdało mu się, że z prawej strony nie ma już mokradeł, ale kwietna łąka obsypana złotymi kaczeńcami. A na tej łące ujrzał stoły zastawione jadłem. Wokół stołów tańczyły piękne dziewczyny i przystojni młodzieńcy i wszyscy oni zdawali się szczęśliwi i beztroscy.

Szedł wytrwale prosto, a widziadła rozpływały się w mgłę i roztapiały w sinym świetle. Myślał o tym, dokąd dalej pójdzie, gdy już wyjdzie na suchy ląd. I im dłużej tak myślał, tym bardziej wiedział, że chce wracać do swojego domu schowanego w cieniu wielkiego dębu, do swych narzędzi i pracy, usiąść znów na ławce paląc fajkę i patrząc na zadbane grządki przed domem. Tylko trochę ciężko mu było na myśl, że w domu będzie tak pusto jak było zawsze.

Zgoła inny dom miał przywitać, niż żegnał wyruszając na swą wycieczkę, ale o tym nie wiedział jeszcze. Serce prowadziło go tam, dokąd miał trafić, a on słuchając mądrej Juwaj szedł za głosem serca i nie dał się oszukać nawet najbardziej nęcącym obrazom, którymi próbowały oszukać go mamuny.



Ktoś jest w domu

W końcu ścieżka wyprowadziła Bolka w suchy, sosnowy bór. Wiedział już, że udało mu się przejść mokradła i że jest uratowany. Szczęśliwy usiadł na piasku i czas jakiś po prostu wdychał woń lasu.

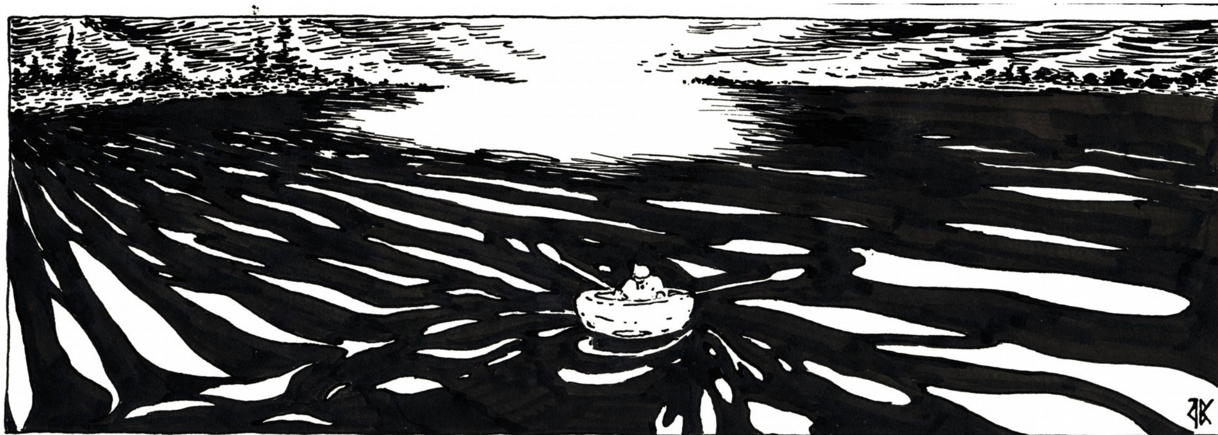
Zapasy skończyły się dawno, pożywiał się więc odtąd tym, co udało mu się znaleźć. To wydłubał, przy pomocy miecza, nasiono z zeszłorocznej szyszki, to wyciągnął młody miękki korzonek z ziemi, to znów po prostu żuł kawałek igły dla zabicia głodu. Mimo, że często ssało go w żołądku, czuł teraz spokój wiedząc, że cel wędrówki jest blisko, a budząca się do życia przyroda nie da mu już zginąć z głodu. I z takim spokojem w duszy, przeszedł Bolko przez kolejną wydmę i ujrzał przed sobą wody Czarnego Jeziora.

Odtąd szedł wzdłuż brzegu, kierując się na północ z zamiarem odszukania łodzi. Czy wciąż czekała na niego przywiązana do trzcin? Czy nie uniosły jej wiosenne roztopy? Nie wywiały wiatry albo nie rozkuł lód? Musiałby wtedy zawrócić i obejść całe jezioro dookoła.

Noc spędził zagrzebany w suchych liściach, na wysokiej skarpie. Obudził go chłód i śpiew leśnych ptaków. Dla rozgrzania wyruszył więc jeszcze przed świtem, a gdy ciepły blask słoneczny rozlewał się po ziemi, Bolko rozpoznał okolicę, w której się znajdował. Przed nim stało to samo wzgórze, na którym spotkał pierwszy raz skrzarodzieja i z którego niedługo potem zbiegał w pośpiechu, w ucieczce przed olbrzymem. Teraz, wczesną wiosną wszystko wyglądało zgoła inaczej, tonąc w bujnej roślinności, z całą pewnością znał jednak to miejsce.

Odnalezienie łodzi zajęło mu trochę czasu. Nie było to łatwe zadanie, gdyż musiał brodzić nie raz do pasa zanurzony w zimnej wodzie. Wiosenne roztopy zniosły ją spory kawałek od miejsca, w którym uwiązał ją był niegdyś do trzciny, jednak nie zdołały zabrać jej ze sobą na otwartą wodę. Gdy w końcu przyciągnął łódź do brzegu i zbadawszy stwierdził, że nie odniosła szwanku, odetchnął głęboko.

- A więc dom jest blisko. - powiedział do siebie. Po wszystkich przygodach, jakie przeżył, przepłynięcie jeziora nie wydawało mu się już żadną przeszkodą. Całkiem inny skrzat stał teraz wśród trzcin niż wtedy, gdy zrezygnowany i zmęczony, a nade wszystko przerażony dobijał o zmierzchu do brzegu, chcąc jak najszybciej uciec na twardy grunt. Bolko, który spotkał olbrzyma, wykradł Władcy Góry klucz do skarbca króla skrzatów i pokonał smoka z groty, nie bał się nawet spotkania z wodnikiem.



- Ej, wodniku, stara pokrako. Dobryś do straszenia małych skrzaciąt. Siedź ty lepiej na dnie swego królestwa. Mnie mus przepłynąć na drugi brzeg. Ale najpierw jeszcze sprawdzę, czy mój kociołek wciąż gdzieś tu nie leży.

I rzeczywiście, odnalazł niedługo zgubę i pierwszy raz od dawna zjadł pożywną, ciepłą zupę z młodych pędów pałki wodnej i podbiału. Siedział przy ognisku dokładnie w tym samym miejscu, co pół roku wcześniej, gdy zmęczony i nieco wystraszony zasypiał, nie wiedząc jeszcze jakie przygody go spotkają podczas wędrówki. Podsuszywszy zaś przy ogniu portki i buty, spakował cały dobytek do swej wiernej dłubanki i wypłynął na wody Czarnego Jeziora. Dzień był pogodny. Wiosenny wietrzyk przewiewał co prawda po niebie deszczowe chmury, te jednak przelatywały szybko, pokropiwszy tylko nieco, po czym znów wychodziło słońce, a ptaki wznawiały śpiewy i trele.

Bolko płynął śmiało wzdłuż trzcin, osłonięty od wiatru, aż do czasu gdy znalazł się u wylotu rzeki Szemrzyny. Wlewający się do jeziora nurt zniósł wtedy małą łódeczkę na otwarte wody i odtąd nasz dzielny skrzat musiał wiosłować z całych sił, by posuwać się w kierunku brzegu. Tym razem starczyło mu jednak i sił i wytrwałości.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Wiedział, że spędza ostatnią noc pod gwiazdami, a jego wędrówka dobiega końca. Nie dawało mu jednak spokoju uczucie, które towarzyszyło mu od tak dawna i teraz leżąc pod gwiazdami zastanawiał się, co ono właściwie oznacza. Coś gniotło go w piersi i wprawiało w dziwnie przyjemny niepokój i z całą pewnością czuł to tym wyraźniej, im bliżej znajdował się domu.





- O co chodzi, Dębowa Czapko? - powiedział na głos sam do siebie - Czy oczekujesz czegoś przyjemnego? Czy aż tak się cieszysz, że wracasz do swego domu?

Odpowiedziała mu cisza. Nawet najlżejszy podmuch wiatru nie zaszumiał wśród traw. Na czystym niebie widział Bolko niezliczone gwiazdy. Były nieruchome, ale jednocześnie zdawały się mrugać, jakby tańczyły, każda na swoim wyznaczonym miejscu. Wielki bal, pełen wirujących tancerzy.

W końcu jednak powieki skrzata stały się ciężkie i opadły a pod nimi, zdało mu się, dwie jasne gwiazdy wciąż nie przestawały świecić. I choć nie wiedział już, czy to jawa czy sen, czy na prawdę ręce wyciąga, czy tylko myśli o tym, a ciało jego śpi już nieruchome na liściu dziewanny, nie myślał o tym. Widział znów, że te gwiazdy są dwojgiem jasnych oczu i słyszał jasny, ciepły głos, który przyzywał go do siebie a on sam odpowiedział radośnie: - Przybywam!

Resztę nocy przespał spokojnie, a od razu po przebudzeniu wyruszył. Im bliżej był domu, im więcej poznawał znajomych miejsc, tym większą i większą czuł radość.
W końcu wyszedł drogą na ostatni pagórek wśród traw i ujrzał swój dom, a jego serce zadrgało w uniesieniu. Przystanął tu na chwilę w cieniu patrząc na widok, który ukazał się jego oczom. Oto bowiem dom tętnił życiem! Okiennice były rozwarte, czyste szyby błyszczały w słońcu. Na rozwieszonym między gałązkami bzu sznurku konopnym bieliła się świeżo uprana pościel. Ogród wyglądał na zadbany, a z komina leciała cienka smużka dymu. Ktoś wyraźnie krzątał się w obejściu.



Z szeroko rozwartymi oczami zbliżył się Bolko i zrzucił plecak na swej ulubionej ławeczce pod oknem, po czym zakrzyknął:

- A to ci piękny dzionek dziś nastał. W sam raz, by na spacer ruszyć!

Zaszemrały w izbie lekkie, szybkie kroki i zaraz na progu stanęła Konwalia. Zatrzymała się na jego widok, spuściła oczy, lecz wcale nie skromnie. Z przekornym uśmiechem odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

- Dopieroś wrócił i już chcesz wychodzić? Wiesz ile roboty czeka? Dalejże drewna narąb, bo w piecu stygnie, a ja nagotuję zupy.

- Sprawiedliwy to układ - zaśmiał się na to Bolko, który poczuł naraz, że w istocie jest bardzo, bardzo głodny.

Wtedy ich wzrok spotkał się w końcu i Bolko cały utonął w zielonych, jasnych oczach Konwalii ujrzawszy w nich tę samą nadzieję, którą sam nosił w sobie. Dlatego nie pytał o nic więcej, tylko zabrał się do roboty.

Siedzieli potem długo, grzejąc się w popołudniowym słońcu i rozmawiając o rzeczach pozornie zupełnie nieważnych, takich jak, co które z nich lubi jeść na śniadanie, gdzie w ogrodzie powinna rosnąć dynia, oraz czy małe skrzacięta hałasujące w obejściu bardziej przeszkadzają, czy bardziej cieszą. A mimo to zdawać by się mogło, że nic ważniejszego na świecie dla nich nie było.

Odtąd każdego dnia wspólnie pracowali w domu i ogrodzie, a pracy było co niemiara po długiej zimie, kiedy to nikt nie zajmował się obejściem. Mieli więc czas, by mówić o sobie. I tak Bolko powoli opowiadał swoje przygody, a Konwalia mówiła o wszystkim, co wydarzyło się wśród leśnych skrzatów podczas tych miesięcy, kiedy go nie było. Któregoś dnia Bolko dowiedział się, że pod koniec zimy do lasu zawitał

tajemniczy, stary skrzat w bardzo wysokim kapeluszu, który opowiedział historię o dzielnym skrzacim cieśli, który pokonał smoka.

- I widzisz... - zająknęła się Konwalia niepewnie po raz pierwszy, od kiedy wspólnie przebywali - ja jakoś wiedziałam, że to o Ciebie chodzi. Bo - może pomyślisz, że to dziwne - ale widziałam cię we śnie kilka razy, od kiedy nagle zniknąłeś z naszego lasu. Mogłam Cię widzieć i wołałam Cię w tych snach, lecz nic więcej nie mogłam zrobić.

- Ależ nie! - zapewnił ją Bolko - wierzę ci, bo ja też śniłem i teraz już wiem, pamiętam, że to Twoje oczy widziałem w tych snach!

Tego dnia siedzieli dłużej niż zwykle na ławce przed domem i trzymając się za ręce patrzyli na zachód słońca, nie mówiąc już nic. W tydzień później Bolko ubrał się odświętniej niż na co dzień i poprosił Konwalię o rękę, a ona chętnie przyjęła jego oświadczyny. W dzień równonocy odbyło się huczne wesele, na którym bawiły się skrzaty z całej Dąbrowy i okolic. Mówiono o tej zabawie jeszcze przez długie lata.

A Bolko i Konwalia? Żyli długo i byli ze sobą bardzo szczęśliwi, choć nie obyło się bez paru sprzeczek, tak jak wtedy gdy... ale to już temat na inną historię. Wkrótce w obejściu Dębowego Cieśli zaroiło się od małych skrzaciąt i nigdy nie było już w nim chicho i pusto, za czym nawet czasem zdarzało się Bolkowi zatęsknić, jednak nie tak znowu mocno. A co się stało ze smoczymi skarbami? Bolko podarował żonie zdobiony szmaragdami złoty pas, który Konwalia zakładała od święta i wyglądała w nim jak prawdziwa królowa. Ponieważ jednak pas był na prawdę ciężki i niewygodny, większość czasu wisiał nad kominkiem dając nie raz przyczynek do długich wieczornych opowieści o olbrzymach, czarownikach i smokach. Co się zaś tyczy kryształowej kuli, wyciągał ją czasem Bolko ku uciesze wszystkich skrzaciąt z okolicy i udawał, że wróży o przyszłych zdarzeniach, a dzieci słuchały z rozdziawionymi buziami i nadziwić się nie mogły, skąd ich tata zna takie czary. Może on zresztą nie całkiem udawał? Może zapamiętał jeszcze jakieś czary z tajemniczej księgi Czarownika Góry Bez Imienia?

KONIEC



Spis Treści